

# Miejskie teatry dramatyczne

NIE można narzekać w stolicy na brak urozmańcenia na terenie życia teatralnego. Celują w tym miejskie teatry dramatyczne, które w ciągu jednego tygodnia potrafią zalepić ulicę miasta afiszami premierowymi, krzyczącymi tytułami sztuk starych i nowych.

Wielkością afisza wyróżniał się »Romans z Ojczyzną« — Tadeusza Łopalewskiego. Autor stara się w szeregu scen dramatycznych przedstawić życie Maurycego Mochnackiego. Próba ta — mówiąc otwarcie — nie powiodła się, mimo, że życie Mochnackiego, jednego z najtęższych umysłów doby romantyzmu, obfituje w ciekawe, niesłychanie dramatyczne momenty. Łopalewski oparł swoje wizje sceniczne na przebogatym materiale biograficznym: korespondencji, notatkach matki znakomitego publicyści, jakim był Mochnacki, jego artykułach, starych gazetach. Przeladowanie tekstu, skądinąd znakomitymi, autentycznymi wypowiedziami Mochnackiego zagubiło dramatyczność postaci. Nie widzimy Mochnackiego w akcji, gada tylko bez przerwy, męcząc siebie i widza. Gadulstwo i teoretyzowanie z reguły zabija życie sceniczne. Tu się ono nawet nie narodziło.

Nie wiele pomogła dziełu inscenizacja E. Poredy, który ratował je monumentalnością postaci i oryginalnością oprawy dekoracyjnej, wpadając niestety często w pretensjonalność.

Z wykonawców na uwagę zasługuje Osto - Suski, który czarnym charakterem księcia Lubeckiego przysłał mdłą postać Mochnackiego (B. Kostrzyński).

Gdyby »Romans z Ojczyzną« był opracowany w formie powieściowej, bardzo bliskiej przecież autorowi, znalazłby prawdopodobnie wielu — nawet entuzjastów, w formie scenicznej trudno mu będzie znaleźć odbiorców.

\* \* \*

Odmienne przedstawia się rzecz z inną sztuką, wystawioną przez koncern teatrów miejskich: »Pociąg widmo« — zreżna sztuka Arnolda Ridley'a — to jakby żywcem przeniesione na scenę karty powieści kryminalnej. Wiele osób z naszego otoczenia, a często może i sami, czytamy chętnie powieści kryminalne i nie rzadko dopiero błąd świt wytrąca nam książkę z ręki. Dobra literatura kryminalna czy detektywistyczna jest doskonałym środkiem odprężenia dla psychiki człowieka, chodzącego bezustannie w kierunku przeciwnych obowiązków. Podobne działanie wywiera »Pociąg widmo«; dodając jedynie, że podobnie, gdy nas przestaje interesować, możemy przeczytać ostatnie stronicę i wiemy, kto jest czarnym charakterem, a kto bohaterem. Z »Pociągiem« jest niestety inaczej. Kupując bilet — zaś iść tylko na ostatni akt. Siedzi się więc przez trzy akty, słuchając tej bujdy i dziwiąc się niepomniernie, dlaczego tylu ludzi marnuje cudowne, wiosenne wieczory na oglądanie tak straszliwej bzdury. Bo sztuka nie ma żadnych wartości literackich, zresztą trzeba przyznać, że autor nie miał takich ambicji. Usiłuje trzymać widza w napięciu przez pełną niesamowitych tajemnic akcję, zreżnie zawiązując węzeł fabularny, którego rozpiętanie przychodzi dopiero tuż przed końcowym opuszczeniem kurtyny. Czy trzeba dodawać, że sztuka dobrze się kończy? Jak w powieści kryminalnej tak też i tu zło zostaje ukarane, ten, po którym najmniej się tego spodziewamy, okazuje się bohaterem, zawiła zdawałoby się intryga jest tak prosta, że opanowuje nas zdumienie, jak mogliśmy tego nie przewidzieć.

Równo 20 lat temu, podczas festiwalu chopinowskiego, odbywającego się w sali Filharmonii w Warszawie, gdy Józef Śliwiński, słuchany przez liczną zgromadzoną publiczność, grał marsza żałobnego z sonaty b-moll, skupioną ciszę przerwały jakieś dzwinki, gwizdki, padł strzał rewolwerowy. W sali koncertowej wybuchła panika. Dopiero obsługa wyjaśniła, że hałasy i strzał pochodzą ze sceny teatru »Małego«, sąsiadującego z Filharmonią. Odbywało się tam właśnie przedstawienie komedii »Pociąg widmo«. Nie zestarzała się przez dwadzieścia lat ta sztuczka i w dalszym ciągu straszy z powodzeniem na Pradze.

\* \* \*

Drugą — obliczoną na wiosenne »ogórkowe« dni sztuką — jest komedia Claude A. Pugeta — »Szczęśliwe dni« w przeciwieństwie do poprzedniej ma za zadanie wywołać beztroski nastrój, tym bardziej, że przedstawia gromadkę młodzieży, nie mającej żadnych innych zmartwień — tylko miłosne. W »Pociągu« narastające z każdym aktem napięcie przykurwa od początku do końca twarzą widza do zdarzeń na scenie, »Szczęśliwe dni« rozlażą się w melodramatycznych, niczym nieusprawiedliwionych chwytach psychologicznych. Po pierwszym akcie, doskonałym pod względem budowy literackiej i scenicznej, pełnym celnych dowcipów i dowcipnych sytuacji, następują dwa, w których gubi się nastrój zabawy i komedia przekształca się w okrzyk dramat co jej na dobre nie wychodzi podobnie jak zespołowi, którego autentyczna uroda i beztroska młodość pierwszego aktu nie wytrzyma melodramatycznych łamańców trzeciego. Wszystko owinięte nie zawsze potrzebną, ale przyjemną muzyką Wasowskiego.

\* \* \*

Bezspornie najwartościowszą pozycją teatrów miejskich ostatnich tygodni jest sztuka »Strzały na ulicy Długiej« — Ariny Świrszczyńskiej, znanej autorki »Orfeusza«. Sztuka jest dowodem, jak w rękach dobrego pisarza, czującego potrzeby sceny, zwykła, nawet banalna historia okupacyjna, może się stać pełnym wyrazu dziełem.

Mąż Loli siedzi w obozie. Aby go ratować Lola sprzedaje wszystko, nie wyłączając swego ciała. Ostatnim którego naciąga na forszę, jest Barczak. Zeszło się właśnie wesole towarzystwo do Loli na wódkę. W trakcie zabawy Loła otrzymuje wiadomość, że mąż jej umarł w obozie już przed trzema laty, a więc wszystkie jej ofiary były zbyteczne.

Z »heroizmu poświęcenia« zostają jedynie nalogi do wódki i morfiny, do których uciekała w ciężkich chwilach tragicznych trzech lat. W ostrym szoku nerwowym wyrzuca przez okno pierścionek, ostatnio wyludzony od Barczaka, wyrzuca swych gości i usiłuje otruć się wernalem. W tym momencie wchodzi do pokoju ranny bojowiec — Józef, który brał udział w odbijaniu więźniów wziętych przez Niemców na egzekucję. Drugi i trzeci akt — to droga powrotna Loli do porządnego życia. Nie narkotyzuje się; nie pije, nawet ku zdumieniu swego wielkiego przyjaciela, profesora, nie maluje się, ceruje skarpety i koszuje po mężu dla Józefa, którego przechowuje u siebie. Odsunięty Barczak nasyla na mieszkanie Niemców. Lola zmusza Józefa do ucieczki przez okno, a sama z jego rewolwerem w dłoni czeka na gestapowców.

Nie padają strzały w tej krótkiej sztuce, ale czuje się w niej bohaterstwo. Autorka pozwala kobiecie, w potocznym języku nazywanej »upadłą«, zostać bohaterką. Powiedzieć może, że to jeszcze jedna próba usprawiedliwienia dla źle prowadzących się w czasie okupacji kobiet. Ten bolesny problem w tym indywidualnym wypadku ma głęboko moralną tonację i nie budzi żadnych zastrzeżeń. Wierzmy razem z autorką, że bohaterstwo nie jest przywilejem jedynie t. zw. ludzi cnotliwych.

Prostotę sztuki zagubili w melodramatycznych szczegółach aktorzy i reżyserka. Dobrą, ale trudną rolę Loli grała J. Martini. Spłyciła ją, wygrywając jedynie znakomicie »kokocie« tony bohaterki. Lustro, cełowo postawione przed nią przez autorkę, w którym tak łatwo mogła znaleźć swoje właściwe odbicie, posłużyło jej jedynie jako powód do przypudrowania nosa i poprawienia włosów. Delikatny rysunek postaci został zamazany grubymi liniami zagrań aktorskich, od których nie były wolne i pozostałe osoby: Józef w interpretacji L. Łuszczewskiego, kombinator Barczak odtwarzany przez J. Klejera, Helcia, dama z półświatka — E. Ścibor - Lorentzowa i profesor — Z. Zintel. Ostatni nazbyt irykatualny w swej profesorskiej naiwności. Szkoda, że reżyserka — I. Ładosiówna nie wyczuła kobiecą intuicją właściwego tonu sztuki.

Przedstawienie pozostawia jednak dobre wrażenie, ale to już zasługa autorki.